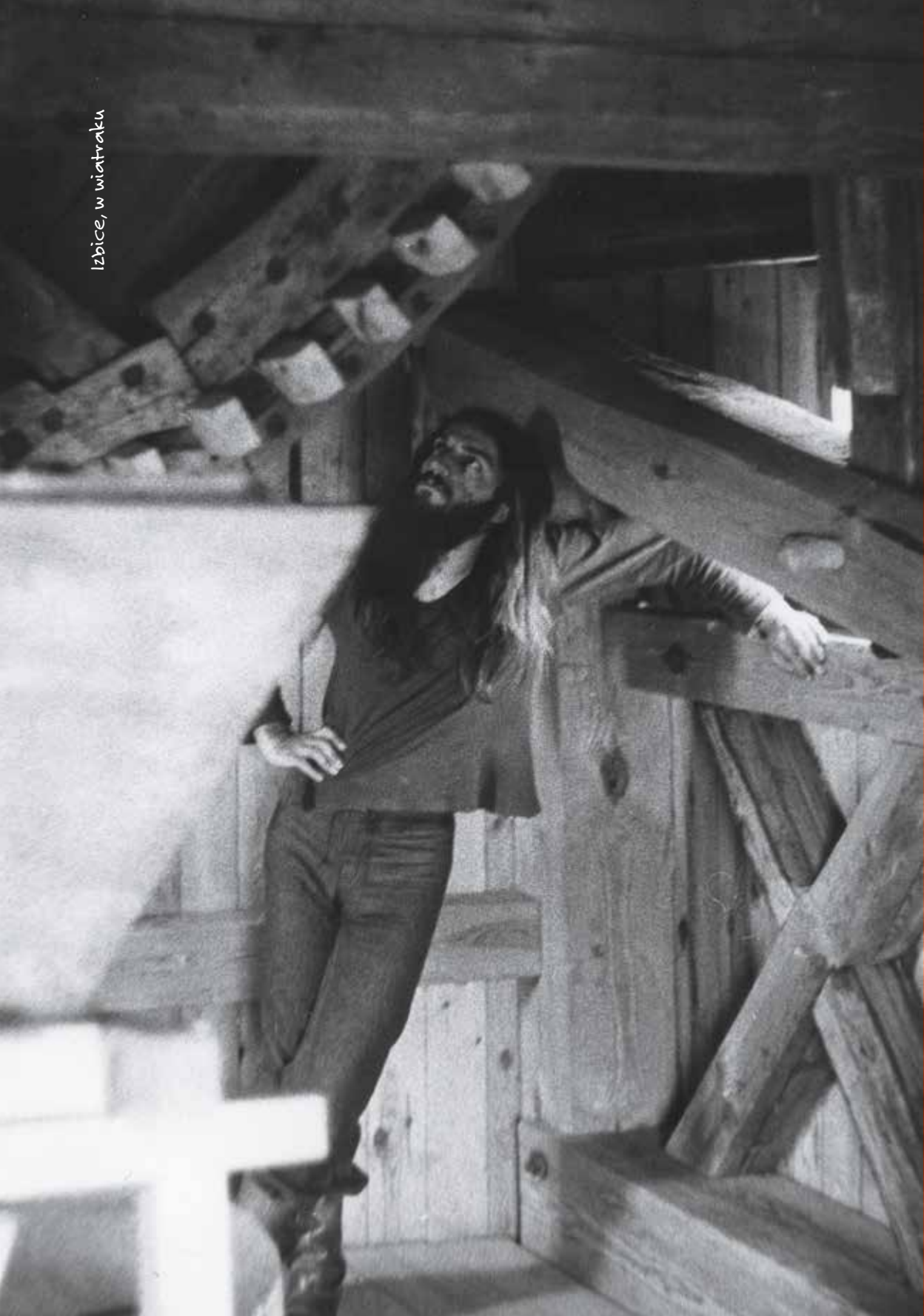


Izbice, w wiatraku



**Wracają  
kręgi, które  
poruszyłeś**



zamieszkać w dębie lasu łęgowego,  
w świetle i w ciemności pytać o trwanie

**Wróćmy do początków. Wiem, że Maciej Rychły to jest ulica Polna w Poznaniu na Jeżycach. Czy to od zawsze były Twoje okolice?**

Nie, z rodzicami najpierw na króciutko Jesienna i zaraz potem na dłużej Hetmańska. Stamtąd wyprawiałem się na ulice Górczyna, Grunwaldu, Łazarza. Chodziłem do szkoły przy Winklera i po lekcjach biegaliśmy z dziećmi ulicą Krauthofera na stare bamberskie łąki Gowitra. Dzięki temu dowiedziałem się, kim był Winkler i Krauthofer. Pamiętam, że na terenie dzisiejszego parku Kasprowicza z Areną w centrum pasły się owce i było pełno wielkich lejów po bombach. Każde rozpoczęcie roku szkolnego zaczynało się „apelem poległych”. Ja, jak wielu innych, miałem wtedy „zakonspirowane” pod szafą jakieś zardzewiałe żelastwo, które w czasie wojny nie wybuchło.

**Były to czasy zbieracko-łowieckie?**

No tak, było dziko!

**Czy całe dzieciństwo mieszkałeś w Poznaniu?**

Kiedy miałem pięć lat, kilka miesięcy od wiosny do jesieni, co stanowi dla dziecka ogrom czasu, spędziłem u dziadków w Golinie Wielkiej, wielkopolskiej wsi. To było szczególne doświadczenie – mieszkać na strychu w dawnym pokoiku ojca i chodzić tam spać po ciemnicy. Babcia stawiała w pokoju wiadro miodu, abym w każdej chwili mógł sięgnąć łyżką i zająć, drażąc w tym miodzie coraz głębsze korytarze. Lubię wioskę.

**Z tych dziecięcych doświadczeń wzięła się później łatwość jeżdżenia do ludzi na wieś i rozmawiania z nimi?**

Cały czas tkwi we mnie tęsknota do wsi. Tam zobaczyłem przestrzeń, azył, zdrowie. Mieszkanie w mieście uważałem za coś tymczasowego, przystanek na chwilę, zanim zacznie się coś prawdziwego, zanim rozpocznie się wędrówka. Tak jest i dziś.

**Mieszkałeś u dziadków tylko jakiś czas, ale rozumiem, że wieś skradła ci serce?**

Chyba tak. Kiedy wróciłem do Poznania, brat chodził już do szkoły, a ja poszedłem do przedszkola. To była uniwersytecka placówka niedaleko parku Moniuszki...

**Pewnie przy ulicy Spornej?**

Tak, chodziłem tam, bo ojciec był pracownikiem Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza i Akademii Medycznej. Z wykształcenia był chemikiem.

**Opowiesz coś więcej o ojcu?**

Ostatni raz widziałem ojca w 1970 roku. Umarł, a ja nie miałem jeszcze trzy-nastu lat. Grał na fortepianie i śpiewał. Był człowiekiem wyluzowanym. Pamiętam, że nie zapinał płaszcz, nawet gdy wiał wiatr. Dla mnie był bardzo charakterystyczną postacią. Zaprzyjaźniliśmy się ze sobą, gdy Waldek poszedł

do szkoły. Po pracy ojciec odbierał mnie z przedszkola i tak zaczęły się nasze wędrówki po Poznaniu. Bywało, że wracaliśmy do domu późnym wieczorem. Czasami stawałem pod drzwiami sam, a ojciec się chował. Może mając poczucie winy? No, ale wtedy Poznań przedeptaliśmy dość intensywnie. Pamiętam na przykład, że chodziliśmy do kościoła, który dzisiaj stoi przy starym korycie – „suchej rzece” – na Grobli, a wówczas stał nad brzegiem Warty, na zakolu rzeki.

**Czyli do kościoła pod wezwaniem Wszystkich Świętych, wcześniej ewangelickiej.**

Ojciec pracował przy ulicy Masztalarskiej, skąd mieliśmy blisko. Stefan Stulgrosz prowadził tam próby chóru, a my z ojcem najzwyczajniej w świecie ich podsłuchiwalismy. Chodziliśmy też do kościoła na Wzgórzu Świętego Wojciecha. Wspinaliśmy się na chór, żeby słuchać i patrzeć, jak gra organista. Pamiętam też inne związane z muzyką historie. Gdy poszedłem do szkoły, rodzinnym rytuałem stały się cotygodniowe wyjścia na koncerty symfoniczne do Auli Uniwersyteckiej. Po nich zawsze udawałem się do garderoby muzyków z prośbą o autograf. Można nawet powiedzieć, że stałem się kolekcjonerem.

Kiedyś poszliśmy do opery na jakiś spektakl. Siedząc na balkonie, obserwowałem, jak wszystkimi muzykami zarządza człowiek, który stoi do nas tyłem. Ojciec wyjaśnił mi, że to dyrygent. Powiedziałem, że chciałbym go dotknąć. Następnym razem cała rodzina zasiadła w pierwszym rzędzie, ja za dyrygentem i go sobie dotykałem. To był zadziwiająco dobry człowiek, skoro nie przyłożył mi batutą. Do szkoły powszechnej i do muzycznej poszedłem jednocześnie. Ojciec rozmawiał ze mną wyłącznie o tej drugiej i uważał to za oczywiste. W szkole muzycznej byłem najmłodszy. Najpierw nauczyłem się pisać nuty, a dopiero potem litery. Niedawno przeglądałem przechowywane przez mamę zeszyty z tamtych lat, a w nich nieudolne zapiski o tym, co dana nuta na pięciolinii oznacza. Problemem był też brak pianina. Przez kilka pierwszych tygodni szkoły nie miałem w domu instrumentu. Natomiast u dziadków na wsi stało w pokoju bardzo dobre pianino Carl Quandt z 1880 roku, na którym uczył się grać mój ojciec. Któregoś dnia pojechaliśmy 100 kilometrów na wieś wynajętym żukiem. Pamiętasz takie samochody? Przywieźliśmy pianino nocą, nie myśląc, jak je wtaszczyć na drugie piętro. Na szczęście jacyś przygodni przechodnie dali się namówić na szybki zarobek. (śmiech)

**To jest to pianino, które do dziś jest w twoim domu?**

Tak, grał na nim mój syn Mateusz. Trzecie pokolenie, które uczyło się grać na tym instrumencie.

**Piękne. Czyli ojciec ukierunkował cię muzycznie.**

Zdecydowanie. Po jego śmierci kontynuacja nauki w szkole muzycznej przeze mnie i przez Waldka nie była już możliwa. Ja się uparłem, żeby tę szkołę ukończyć, i to mi się na szczęście udało. Potem wybraliśmy z Waldkiem liceum ogólnokształcące i studia niezwiązane z muzyką, ja psychologię, Waldek architekturę, ale w domu muzyka była obecna bez przerwy. Mama sekundowała naszym zainteresowaniom.

**Waldek też był w szkole muzycznej?**

Tak, uczył się grać na skrzypcach, a spotykaliśmy się na lekcjach słuchania muzyki.

**Uczyła was tam m.in. pani Stanisława Szeligowska.**

Prowadziła teorię muzyki. Razem z mężem, kompozytorem Tadeuszem Szeligowskim, napisała pierwszy w powojennej Polsce podręcznik metodyczny dla szkół muzycznych *Lekcje słuchania muzyki*. Na fortepianie uczył mnie grać pan Drozdowski.

**Czy mogę zapytać cię o mamę, bo to barwna postać?**

Jest absolwentką towaroznawstwa w Wyższej Szkole Ekonomicznej w Poznaniu (obecnie Uniwersytet Ekonomiczny) i pracowała w tym zawodzie. Kiedy przy ówczesnej alei Stalingradzkiej, dzisiaj alei Niepodległości, otwarto Medyczne Studium Zawodowe, mama tam „dyrektorzyła”. Kilka lat po śmierci ojca związała się z jego przyjacielem Stanisławem Mrowińskim. Widziałem, jak coraz bliższy staje się dla niej świat artystów.

**Opowiesz o Stanisławie Mrowińskim?**

Należał do kręgu artystycznych znajomych ojca. To on zaprojektował pierwsze okładki płyt Kwartetu Jorgi. Potrafił słowną lub muzyczną metaforę przełożyć na znak graficzny. Kiedyś zamarzyłem głośno, żeby moja fletnia wyrosła i była żywa, żeby zakwitła. Bach! I dostałem, właśnie tak narysowaną – wielopiszczalkową fletnię Pana siejącego paniczne lęki nocne, czującego zwierzęcością swoich rogów i kosmatych nóg popędy i emocje. Tak przedstawiona, odrodzona poprzez kontakt z ziemią, zakwitająca, stała się znakiem na okładce naszej pierwszej płyty. Blaise Pascal był chyba z nami – „człowiek jest trzcina na wietrze, najwątleszą w przyrodzie, ale trzcina myśląca”. Trzcina, wyrastając z mułu, przebija lustro wody, targana wiatrem jest bliżej słońca. I masz już zestaw piszczałek z trzciny wodnej. Taka była druga okładka. Mrowiński był mistrzem.

**Jest taki artykuł w „Jazz Forum” z 1992 roku, gdzie Wojciech Ossowski pisze o dziesięcioleciu zespołu. Zachwycony pierwszą płytą wspomina o „okropnej okładce”. Kiedy to przeczytałem, przeżyłem szok. Moim zdaniem one – zarówno pierwsza, jak i druga – niesamowicie współgrają z muzyką na krążku.**